Wydawnictwo rok VII.
Dnia 11 sierpnia 1929 roku

Nr. 309

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy"

GŁOS PRAWDY



CZYJŻE TO ZAGRZMIAŁ GŁOS W BURZĘ DZIEJOWĄ:
RWIJCIE KAJDANY DO CHWAŁY POWSTAŃCIE!
KTÓŻ BYŁ, CO TAKIE RZUCIŁ POLSCE SŁOWO?
TY, KOMENDANCIE.

A GDY PYTANO: DOKĄD DĄŻYĆ MAMY,
I KOMU SŁUŻYĆ: NIEMCOM CZY ENTENCIE?
KTÓŻ TO ZAWOŁAŁ: SŁUŻMY POLSCE SAMEJ!
TY, KOMENDANCIE.

CZYJ TO CZYN SPRAWIŁ, IŻ PEWNEJ GODZINY,
BŁYSNĄŁ NAD NAMI ORZEŁ W AMARANCIE?
KTÓŻ TEN SAMOTNY BYŁ I TEN JEDYNY?
TY, KOMENDANCIE.

TADEUSZ HIŻ.

JÓZEF PIŁSUDSKI

MOJE PIERWSZE BOJE*)

...Czy jest większa rozkosz dla żołnierza jak marsz w kierunku nieprzyjaciela? Wszystko jest niewiadomem i pełnem tajemnic, wszystko pełnem groźby i niespodzianek. Szarzejąca grupa drzew, łagodny pagórek, romantyczna zagroda — wszystko stanowi przedmiot zagadek i łamigłówek. Coprawda, marsz nasz był wyjątkowym. Oderwany oddziałek, mucha wobec ogromu słonia, ku któremu posuwaliśmy się raźnym krokiem, mucha bez żadnego oparcia i pomocy znikąd. Lecz tem silniejsze i ostrzejsze były wrażenia. Będąc dowódcą większego oddziału, nie pracowałem z natury rzeczy nigdy na czele oddziału, jako pierwsza macka badająca przestrzeń. Więc teraz, gdy szedłem prawie w szpicy, miałem rozkosz podwójną. Ciężkim ołowiem leżące na duszy poczucie odpowiedzialności za całe przedsięwzięcie, za parę tysięcy żyć, rzuconych przez mój marsz na kartę, znikło, ustąpiło przed rozkoszą rozstrzygania tych drobiazgów taktycznych, które nasuwał ustawicznie nasz marsz ku Miechowowi.

Cudowne! Głowa zimna z poczucia, że się ma siebie zupełnie w cuglach. A zarazem podłoże psychiczne rozgorączkowane, zmuszające serce bić żywiej, pędzi do mózgu fale krwi gorącej, trzymane jednak tak cudownie silnie na wodzy przez zimne postanowienie, przez chłodną kontrolę i analizę. Myśli się szybko, wyraziście z jakąś zimną stanowczością. Zapomina się o wszystkiem na świecie, oprócz celu, który się ma, i krytyki środków, które się nasuwają dla osiągnięcia jego.

Idziemy szeroką drogą, wyjeżdżoną wczoraj przez cofające się wozy i artylerję. Żeby cofać się prędzej, wytarto na otaczających polach nowe drogi, które to się zlewają w jedną, to znowu rozchodzą się dla objazdu jakiejś przypadkowej przeszkody, która się podczas marszu nadarzyła. Na prawo od nas zdala bucha ogromem światła jakaś fabryka. Wśród ogólnej ciszy i ciemności te snopy światła, świadczące o życiu ludzkiem, świecą mi jakoś bezczelnie i złowrogo. Mam dosyć powodów do unikania teraz światła i wzroku ludzkiego, więc bezwiednie, instynktownie przy każdym spotkanym objeździe biorę się na lewo, dalej od fabryki. Za sobą słyszę równomierny tupot piechoty. Cicho w szeregach, odczuwam jednak nie martwą ciszę zmęczenia, lecz napiętą, rozbudzoną ciszę ciekawości i gotowania się do walki.

Wkrótce przeciąć musimy tor kolejowy, potem zaraz wchodzimy w las, a potem... potem owa zagroda, przy której skręcamy na południe, w kierunku Krakowa. Jeśli prawdą jest, że Miechów jest zajęty przez silniejszy oddział, to tam może stać już jakaś placówka. Tam więc otrzymam pierwsze dane dla sądu, jak jest z moim korytarzem. Maszerujemy już sporo czasu — sprawdzam — już więcej niż pół godziny — prawie trzy kwandranse, a dotąd toru kolejowego niema. Idziemy dalej, zaczynam się niepokoić. Co u licha ciężkiego!

„Szefie! Czy nie spostrzegacie, że idziemy jakąś błędną drogą — mówię do Sosnkowskiego — dawno powinnibyśmy byli przejść przez tor kolejowy!"

„Już od dłuższego czasu o tem myślę — odpowiada Sosnkowski — ale może to jakiś większy tylko objazd".

Niepokój wzrasta. Przy pierwszym kroku niepowodzenie.

„Czegoś był zanadto ostrożny — robię sobie wyrzut — trzeba było wziąć przewodnika!"

Oglądam się dokoła. Wszędzie trochę pofalowana równina, ani śladu jakiegoś domostwa, tylko wprawo za nami złowrogo błyszczą ślepia fabryki. Wreszcie majaczeje przed nami skraj lasu. Decyduję zatrzymać się w lesie i zorjentować się w położeniu. W każdym razie wiem, że nasza istotna droga jest od nas naprawo i za torem kolejowym. Łatwo będzie ją odnaleźć. Zmarnujemy tylko znowu sporo czasu.

Podchodzimy do lasu i trochę dalej rozlega się szczekanie psa, więc jakieś osiedle. Zatrzymuję kolumnę i z kilku oficerami idziemy do chaty. Pies ujada wściekle, szturmujemy do drzwi i do okien. Po długich pertraktacjach wychodzi młody chłopak, ogląda nas ze zdumieniem i z pewnem wahaniem odpowiada na pytania.

Istotnie zbłądziliśmy. Poszliśmy drogą na stację Miechów, więc w kierunku północno - zachodnim. Na nasz gościniec wyjść można bez wozów nawet względnie blisko, ale z wozami trzeba wracać na przejazd kolejowy. Tak, niedaleko, jakaś wiorsta lub półtorej. Z chaty już powyłaziły jakieś baby. Zaczyna się tłumaczenie drogi, jak zwykle, bardzo zawiłe, kręcące się koło przedmiotów doskonale im znanych, lecz dla nas będących jakimś X-em.

Ten błąd przy pierwszym kroku, to zawracanie znowu w stronę Wolbromia, robi jakąś atmosferę zniechęcenia i niepowodzenia. Może niesłusznie, lecz odczułem ją jakby idącą od mego otoczenia. Zbieram do garści nerwy.

— „Chłopcze, poprowadzisz nas do drogi na Miechów, zbieraj się, idziemy zaraz!"

Baby w płacz, matka chłopca rzuca mi się do nóg, obiecuje prowadzić sama. Chłopiec targuje się z nią. Nie znoszę tych scen, tych niepotrzebnych męczarni ludności bezbronnej, nie wojującej. Jestem, zdaje się, za mało bezwzględny.

Śmigły przerywa dyskusję, woła paru żołnierzy i ci przystępują do chłopca. Baba zrozpaczona oświadcza, że i ona pójdzie razem, i jeszcze raz prosi, by nie potrzebowali prowadzić nas dalej, jak tylko do drogi. Dalej do Miechowa trafimy sami, droga tam szeroka i idzie wciąż lasem.

Ruszamy i wykręcamy na jakąś boczną drogę, przez jakiś przeklęty rów, gdzie kuchnie dudnią od przerażenia, a wszyscy woźnice i kucharze klną, co się zmieści. Idziemy zpowrotem i przeklętą fabrykę mamy znowu przed oczami. Ha, nareszcie budka ko-

*) Józef Piłsudski „Moje pierwsze boje". Wspomnienia, spisane w twierdzy Magdeburskiej. Warszawa 1926 r.

lejowa! Koło kolei, jak wierne straże, biegną słupy telegraficzne poodcinanemi drutami, które żałośnie jęczą pod stopami naszemi i kopytami koni. Jeszcze trochę i jesteśmy na naszej drodze. Patrzę na zegarek i obliczam. Straciliśmy, minimalnie licząc, dobrych dwie i pół godziny! Nie dopuszczam do siebie pesymizmu, klepię po szyi kasztankę, mrucząc:

„No dzisiaj ty swych Czapel Małych nie zobaczysz!"

Kasztanka stamtąd pochodzi i ciekaw byłem, jak się będzie zachowywała, gdy po tylu wędrówkach niespodziewanych dla wiejskiej, rozpieszczonej klaczy ujrzy rodzime pola i zagrody.

Maszerujemy lasem, pali mnie ciekawość, co spotkamy przy zagrodzie na skręcie naszym z wielkiej drogi na południe. Wreszcie majaczeją i zabudowania. Wstrzymuję kolumnę i chcę jechać. Lecz na cuglach spoczęła ręka Śmigłego.

„Komendancie! Nie wolno! Ja prowadzę awangardę, to mój obowiązek. Proszę zaczekać!"

Kochany Śmigły! Kiwam głową na znak zgody i zostaję przy kolumnie. Z pamięci wyskakuje mi nagle Kraków i salka wykładowa w „Strzelcu". Pamiętam, gdym, zwarjowany na punkcie studjów wojny japońskiej, wykładał swym uczniom sławny nocny atak 10-ej dywizji na „Sopkę o dwóch rogach", jeden z bohaterskich czynów japońskich, który wzbudzał mój zachwyt. I zawsze przy tym wykładzie, jako przykład rozumnej organizacji i wewnętrznej dyscypliny Japończyków, przedstawiałem wypadek z marszałkiem Nodzu, komendantem tej armji, do której należała atakująca 10-ta dywizja.

Marszałek Nodzu, zaniepokojony strzałami, wpadł do wsi, przez którą maszerowali Japończycy i szły kule rosyjskie: chciał być bliżej wypadków. I ten komendant dywizji po złożeniu raportu zażądał, by Marszałek się usunął, bo „odkąd to dowódca armji ma być w linji ognia"? Nodzu usłuchał. Przedstawiałem ten wypadek zawsze jako przykład zdrowego stosunku pomierzy wodzem a podwładnymi, gdzie wódz musi i umie uszanować nietylko granice obowiązków, ale i praw swych podkomendnych. Teraz mój uczeń, Śmigły, przywołał mnie do porządku.

Po chwili raport: „Droga wolna, pusto, nikogo niema". Gotów jestem skakać z radości. Korytarz jest i tutaj! Ba, w tem miejscu nawet jakby szerszy, niż w kierunku Żarnowca. Więc prawdopodobnie istotnie front austrjacki idzie w kierunku południowo-wschodnim. Skręcamy w las i boczną drogą, dosyć stromo idącą, wdzieramy się powoli na pagórek. Trzeba dać odpoczynek, trzeba ściągnąć kolumnę.

Korzystam z okazji i przed wyjściem z lasu raz jeszcze oglądam mapę, oraz robię obliczenia.

Jest trzecia czterdzieści, za dwie godziny świt będzie dobry, trzeba będzie ludziom dać przyzwoitszy wypoczynek, bo, gdyby nawet optymistycznie obliczać mój korytarz, jednak trzeba rachować na potyczki z kawalerją. Muszę mieć ludzi choć trochę wypoczętych. Z tak zmęczonymi ludźmi nie przejdę więcej w te dwie godziny, jak sześć kilometrów, może siedem. Mierzę na mapie: nie, do Czapel nie dociągnę. A jednak byłoby to tak dobrze! Jest dwór i to duży, można byłoby go zająć, tak, by wszystko było i pod dachem i w kupie. I taki kawał drogi już mielibyśmy za sobą. Może się dowlec tam z odpoczynkami. Jeszcze jeden rzut oka na mapę! Przyciąga mój wzrok zielona plama w pobliżu, jedyny las w tej okolicy. Ulina Mała! Lubię lasy! Ukrycie dla słabego! Kto wie? Decyduję! Jako cel — Czaple, nie uda się — Ulina Mała.

Idziemy dalej. Błoto na drodze ciężkie. Konie i ludzie strasznie strudzeni, więc wleczemy się ospale. Oglądam okolicę przy zbliżającym się pochmurnym świcie. Jesteśmy wciąż na zboczu, łatwo dostrzegalni z traktu Miechów — Wolbrom, który się wije białą taśmą na dole. Kręta, wąska drożyna, którą maszerujemy, wchodzi do Buka; początki tej wsi są już widoczne. Dobrze byłoby dać się ludziom we wsi zatrzymać trochę: znajdzie się pewno tam mleko, a zresztą chociażby woda. Lecz już jest dzień, a każda boczna osłona oddziałów, maszerujących po gościńcu, musiałaby o Buk zawadzić. Więc lepiej nie — wlec się trzeba dalej. Wyjeżdżam naprzód do wsi: teren ku południowi opada, widać zdala wieś, ciągnącą się od wschodu do zachodu, za nią ciemna ściana lasu i zarośli. Wschodni skraj wsi jeszcze jest na górze, przez lornetkę widzę, że jest to coś w rodzaju folwarku. To Ulina Mała!

Wjeżdżam w opłotki wsi. Ludziska już powstawali, oglądają ze zdziwieniem „Austryjoków", kiedy, według, słusznych zresztą, ich obrachowań, nie powinniby oni znajdować się teraz w tem miejscu. Dzieci z ciekawością wyglądają z poza węgłów chat, psy ujadają. Prawie w środku wsi widzę, jak kobieta jakaś, otoczona dziećmi, z chwilą, gdy nas zobaczyła, zakryła oczy rękami, przysiadła na przyźbie i zalewa się rzewnemi łzami. Przy niej stoi stary dziad, filozoficznie pykając z fajki. Po zbliżeniu się do tej grupy, zsiadam z konia. Interesuje mnie ta nagła rozpacz kobieciny, a zresztą muszę zasięgnąć trochę języka.

„Czego kobieto płaczecie? — mówię do niej. — Uspokójcie się! Nic się wam nie stanie!"

Żadnej odpowiedzi, tylko płacz jeszcze silniejszy. Dzieci chowają się za spódnicę matki i stamtąd wysyłają ku mnie na pół przerażone, na pół rozciekawione spojrzenia swych chabrowych oczek. Zwracam się do dziada z tem samem zapytaniem. Dziad milczy i filozoficznie spluwa. Proszę o wodę. Przez łzy kobieta każe starszemu chłopakowi przynieść wody, ba proponuje mleko, lecz rozpacz jej się nie zmniejsza. Pytam o miejscowość.

„Czy to Ulina Mała tam, w dole?"

— Ulina, panie, Ulina — odpowiada z płaczem.

Przynoszą mi wodę i mleko. Kolumna zbliża się ku mnie. Daję rozkaz maszerowania dalej, bez zatrzymania się w Buku. Patrzę na ludzi. U chłopców strasznie pomęczone twarze, jakieś szaro-ziemiste, oczy podkrążone patrzą na mnie z niemą, błagalną prośbą. Uspakajam ich, mówiąc, że wkrótce odpoczną, i wracam do grupy przed chatą. Kobieta wciąż płacze, daję jej spokój i, pijąc mleko, wszczynam rozmowę z dziadem.

„Moskale jeszcze u was nie byli?" — pytam dziada.

—A jakże, panie, byli! — odpowiada — wczoraj po południu byli kozacy. Byli u nas, byli ot tam, w Ulinie Dużej. Byli!

Powoli dowiaduję się, że był tu znaczniejszy patrol, kręcił się po całej okolicy i... poszedł dalej na zachód. Nie chce mi się wierzyć pytam raz jeszcze, nastaję i nie wiem, czy pod wpływem mojej natarczywości, czy z innego powodu dziad zgadza się z memi wewnętrznemi chęciami, że kozacy wrócili w stronę Miechowa.

Nie dowiedziałem się, z jakiej racji płakała baba, która wdzięcznie zresztą spojrzała na mnie, gdym pogłaskał jej dzieci i spytał się o ich imiona. Czy kobieta bała się, że tu, w cichym Buku, rozpoczną się boje i jej rodzima chata padnie ofiarą na ołtarzu Molocha - wojny, czy strach o dzieci łzy jej wyciskał, czy wreszcie łzy lała z powodu nas, żołnierzy, nie wiem. Nie pytałem dalej, bo gadania dziada o kozakach rzuciły moje myśli w inną stronę.

CHRYSTUS W OGNIU

Sam nie wiem, czy to był sen lub marzenie,
Czyli wróżebne przyszłości widzenie...

W czerwcowej pory noc ciemną,
Lśniąc drzew stuletnich pożarem,
Na wzniosłej górze przedemną
Las płonął ognistym żarem.

W tle gorejących płomieni,
Na drzewnym Krzyżu jaśniało
Odblaskiem krwawych promieni,
Zbroczone Chrystusa Ciało.

Płomienie splotły się w koło,
Skry tchem rozwiały się chyżem,
Las cały gorzał w około
Z ramiennym Chrysusa krzyżem.

Który w kurz ziemnych padołów
Rozwiał się pyłem popiołów —
Gdy w górze Chrystusa Ciało
Bez ram krzyżowych zostało.
— — — — — — — — — — —
I dalej trwało marzenie
Sen, czyli jasnowidzenie...
— — — — — — — — — — —

Po chwili znów się roztliło,
Błysnęło znowu płomienie
I drugi Krzyż spopieliło
Żarzących podmuchów tchnienie.

A w górze, Chrystusa Ciało
Nietknięte ogniem jaśniało...
— — — — — — — — — — —

Ponawiało się widzenie,
Snuł się obraz za obrazem,
Chrystusa wyobrażenie,
Cudownym trwało wyrazem.

W zjawisko duchem wpatrzony
Zapytałem w głos z oddali:
„Gdy krzyż już cały zwęglony,
„Czy Chrystus także się spali?

Z góry odpowiedź zabrzmiała,
W bezmiar przedemną daleki
I echem dwięki te słała:
„Chrystus trwać będzie na wieki!“
— — — — — — — — — — —

I zrozumiałem, że wszystko przeminie,
Jakby przenaczeń pożarem zniszczone,
Gmach ludzkiej pychy zdruzgotany zginie,
Mocarne trony będą w pył skruszone.

Zginą potęgi — — złudne światła zgasną,
Wszystko przeminie, co było zwodnicze,
Gromne pioruny z chmurnych wałów trzasną,
Przeobrażając Wszechświata oblicze.
— — — — — — — — — — —

Wszystko przeminie, co było zwodnicze,
Marność marności okaże się wszędzie,
Chrystus jedynie na zawsze zostanie
I Wszechpotężny trwać na wieki będzie.

CZY TO ŚWIT?

I... Gwiazd pytam, czy nie dnieje,
Czy świt z nieb nie promienieje,
Czy nie zbliża się dzień jasny,
Sił zwycięstwo i byt własny?

I gdy patrzę w dal błękitu,
Widzę w blasku lśnień zenitu,
W tle słonecznych dnień pozłoty,
Serc nadziei promień złoty.

Teraz pytam, co się dzieje?
Czyli wiatr pomyślnie wieje?
Czy też trjumf narodowy
Z chmur wyłania się osnowy?

I na istnień stojąc zrębie
Patrzę w przyszłych czasów głębie,
Widzę nowych słońc rozświty
I wytrwałych prac rozkwity.

Widzę, że w oddali dnieje
I zmrok nocny błękitnieje —
Szum rozwiewa chmurne wióry,
Orzeł wrócił srebrnopióry!

Ks. Władysław Bandurski.
Biskup. *)

*) „Z Niewoli do ziemi obiecanej“. Nakł. Wydawnictwa Krajowego. 1920 r.

SPOJRZENIE W OCZY

Przed każdym naszym zjazdem sierpniowym obserwować można wśród naszych przeciwników stale jedno i to samo zjawisko: rodzaj niespokojnego oczekiwania, że „coś wisi w powietrzu", t. j. że po naszym zjeździe może się czy nawet musi się stać coś nieprzewidzianego lub conajmniej niezwykłego. To „coś" zresztą niezawsze jest wyraźniej zdefinjowane. Prasa partyjna przeważnie milczy. Za to w kulisach partyjnych idą gęsto z ust do ust opowiadane sobie na ucho wszelakie „poufne informacje", z reguły rzekomo pochodzące z kół legjonowych. Domysły, przypuszczenia i na niczem nieoparte wnioski wyradzają się niekiedy nawet w plotkę, idącą poza kraj i co gorsza, nabierającą tam cech sensacji. Wystarczy przypomnieć sobie, jak na podstawie takich właśnie domorosłych plotek komentowano w prasie zagranicznej fakt odbycia naszego zeszłorocznego zjazdu w Wilnie, wiążąc go w dowolnej kombinacji z jakiemiś rzekomemi „przygotowaniami zbrojnemi Marsz. Piłsudskiego odnośnie Litwy". Możnaby prawie przysiąc, że i tym razem, z racji obecnego zjazdu posypią się wśród naszych krajowych i zagranicznych „przyjaciół" potoki domysłów i gotowych komentarzy, zwłaszcza na tle nieobecności Komendanta na zjeździe.

My, legjoniści, wiemy dobrze, dlaczego zeszłoroczny zjazd odbył się w Wilnie, w atmosferze tak osobiście miłej i drogiej sercu Komendanta. Potrzeba było właśnie owej atmosfery ciepła i wzajemnego zbliżenia, — nabrania przez chwilę w płuca tchnienia najserdeczniejszych uczuć, jakie nas, wielką rodzinę legjonową, z osobą naszego Nauczyciela i Wodza związały węzłami stokroć silniejszemi, niż samo tylko wspomnienie służby pod Jego rozkazami w czasie walki orężnej o Polskę. Jeśli zaś chodzi o zjazd tegoroczny, wiemy również, co trzeba. Skoro na zjeździe sądeckim nie będzie między nami Komendanta, to jedynie konieczność nieprzerywania Jego wypoczynku. Zapewne, — czysto ludzki, odruchowy sentyment legjonowej wiary chciałby Go widzieć naocznie pośród nas, uczestniczącego osobiście w naszem rodzinnem święcie. Ale właśnie ta najgłębsza miłość, jaką mamy dla Niego, każe nam tym razem rezygnować z osobistej radości bezpośredniego zetknięcia się z Komendantem w otoczeniu wiernej żołnierskiej gromady i usłyszenia Jego słów.

To i wszystko. Jedyny prawdziwy komentarz do tegorocznego zjazdu. Innych niema. Bo istota samego zjazdu zostaje taka sama, jak była i jak będzie zawsze. Nie to jest treścią zjazdu, co dopiero „ma się stać", jak przypuszczają po kątach ludzie, ciągle jeszcze nie mogący wyznać się w naszej legjonowej psychice. Ale treścią jego jest właśnie to, co „się już stało" — i to jako fakt, raz na zawsze istniejący, nieukrywany przez nas bynajmniej, a przeciwnie: wiadomy wszystkim: — nasze najgłębsze przywiązanie dla Komendanta i bezapelacyjna wierność dla Jego idei. Doroczny zjazd legjonowy, — to nawet nie przegląd sił w tem pospolitem znaczeniu, jakie się zazwyczaj nadaje walnym zjazdom związków czy stowarzyszeń. Nie gra w nim bowiem roli to, czy do Kalisza, Wilna, lub Nowego Sącza w rocznicę sierpniową zjechała się taka czy inna liczebnie, większa lub mniejsza ilość uczestników. Bo w każdym naszym zjeździe uczestniczą na przestrzeni całej Polski dosłownie wszyscy byli legjoniści, wierni Komendantowi, bez względu na to, czy im okoliczności przybyć na zjazd pozwoliły czy nie.

Zjazd jest poprostu manifestem tego zbiorowego poczucia, które w nas, legjonistów wszczepił nakaz moralny idei Komendanta. Jest to więc dzień jedyny w roku, należący wyłącznie do Komendanta i do nas. W tym wyłącznie naszym dniu wzajemnie oglądamy się wszyscy, „wielcy" czy „maluczcy", oficerowie czy szeregowcy, jako całkowicie równi sobie żołnierze, zbratani tak ściśle, jak żołnierze Kadrówki, których zjednoczył pierwszy rozkaz Komendanta przed ich wymarszem 6 sierpnia 1914. Czujemy wtedy silniej i bezpośredniej, niż kiedykowiek indziej, że nas moc tego sierpniowego rozkazu obowiązuje do dziś, i że nas będzie obowiązywała do końca, bez względu na to, jakiemi będą jeszcze w przyszłości koleje i losy dalszej naszej walki o silną Polskę.

Słowa Komendanta: „Nie naznaczam szarż, — każę tylko doświadczeńszym pełnić funkcje dowódców", — były i są katechizmem naszego działania nietylko w służbie wojennej, ale i teraz. Wszyscy jesteśmy równi wobec ofiar, jakie trzeba ponosić w imię raz powziętego celu, każdy z nas może zostać oficerem, jak również każdy może znów zejść do szeregów. Każdy z nas czuje, że jeżeli wymagać tego będzie jakakolwiek potrzeba związana z owym celem, będzie umiał rezygnować z wszelkich swoich osobistych względów czy potrzeb.

Jest to więcej, niż jakiemukolwiek zrzeszeniu ludzkiemu dawać mogą formalne nakazy narzuconej dyscypliny. W karności trzyma nas bowiem ciągle ten sam dobrowolny przymus moralny, w jakim nas wychował Józef Piłsudski.

Na tegoroczny zjazd nie przybędzie do nas Komendant osobiście. Ale czyż to pierwszy raz się zdarza, że w ważnym dla nas dniu nie możemy być bezpośrednio z Nim, nie widzieć Go naocznie, nie słyszeć słów bezpośrednio z Jego ust? Mieliśmy w naszej legjonowej historji, od r. 1914 poczynając, niekiedy nawet już nie dni, ale całe okresy, kiedy oddaleni od Niego ciałem, jednak ani przez chwilę nie czuliśmy przerwy tej nierozerwalnej łączności, jaka się między Nim a nami nazawsze zawiązała. Były dni pogodne, nieliczne dni radości, której nie mogliśmy z Nim podzielić. Było znacznie więcej dni ciężkiego mozołu i męki, kiedyśmy otuchy i podtrzymania nie mogli czerpać wprost od Niego. A jednak zawsze mieliśmy pełną świadomość poczucia, że i w jednych

i w drugich dniach nie rozluźnia się ani jeden z węzłów, które naszą gromadę żołnierską złączyły z myślą Komendanta. Była nam ona zawsze całem podtrzymaniem i pomocą.

W naszym wzajemnym stosunku nie zmienia się i nie może się zmienić nic. Jesteśmy po dawnemu zwartą masą ludzi, którzy świadomie, w poczuciu łączności przez osobę i ideę Komendanta, dobrowolnie zniwelowali swoje indywidualizmy do tego stopnia, że się to stało naszą właściwą naturą. Nie umiemy być już inni, jesteśmy dumni z tego i tem jesteśmy silni. Dla jednostek słabych niema między nami miejsca, odpadają same, by — zginąć. Jako gromada idziemy tak, jak szliśmy dotychczas przez pełne 15 lat od sierpnia 1914 roku: równi sobie wszyscy obywatele — żołnierze.

Na każdy nasz zjazd sierpniowy zjeżdżamy się tylko poto, ażeby sobie spojrzeć wzajemnie w oczy, z uczuciem radości stwierdzić, że jesteśmy ciągle ci sami i że po dawnemu maszerujemy naprzód taką samą tyraljerą strzelców Komendanta jak dotychczas. I czy wówczas Komendant jest tuż bezpośrednio z nami, czy okoliczności układają się inaczej, wiemy zawsze, że Komendant jest przy nas i dzieli ze Swoją legjonową wiarą wszystkie uczucia.

alb.

O STUDJA HISTORYCZNE NAD LEGJONAMI

Powiedzmy z góry: Nauka polska nie wypłaciła się dotąd nawet w małej części z długu wobec epopei legjonowej. Nie przyjmujemy zarzutu, że czasy to jeszcze zbyt świeże i brak perspektywy historycznej która dopiero zezwoli na osąd sprawiedliwy i bezstronny. Zapewne, wielu z nas brało w tych wydarzeniach czynny udział, a każdy niemal musiał się do nich w ten czy inny sposób ustosunkować. I z pewnością przekonania polityczne i społeczne odegrają rolę w osądzeniu tej niedawnej, lecz zamkniętej już epoki. Jeśli chodzi o zasadnicze nastawienie ideowe, a nie porachunki polemiczne, niegodne człowieka nauki i badacza, zjawisko to stałe i zrozumiałe samo przez się. Wiedza historyczna, której przedmiotem badań jest człowiek w publicznem działaniu, jest proces dziejowy, będący produktem sił nie tylko materjalnych, ale przedewszystkiem sił moralnych i krzyżujących się wzajem idei, — wiedza historyczna nie może być wolna od pewnego subjektywizmu autora i jest zawsze zwierciadłem epoki nie tylko tej, którą odtwarza, lecz i sobie współczesnej. Historyczna szkoła krakowska jest wytworem popowstaniowej klęskowej atmosfery. Smoleńskiego rozumiemy w całej pełni dopiero na tle liberalnych prądów warszawskiego pozytywizmu. Szkoła Askenazego i rozkwit badań nad historją wojskowości polskiej przyszedł, gdy dokonała się już przemiana w duszy narodu.

Pokolenie współczesne, które było aktorem legjonowych wydarzeń, z tej lub tamtej strony barykady ma obowiązek z zakamarków pamięci, ze schowków prywatnych zbiorów, z żywej tradycji i legendy wywieść na światło dzienne możliwie dokładną i niesfałszowaną opowieść o legjonowej epopei. Musi pod przyszłe historyczne prace rzucić zrąb bezpośredniego spojrzenia, okrasić je rumieńcem życia, zamknąć w swej opowieści koloryt i styl epoki, to wszystko, co nie da się zakonserwować w pożółkłych aktach archiwów. Obowiązek ten ciąży na wszystkich, w pierwszym zaś rzędzie na tych, którzy wyższy zajmowali szczebel w hierarchji czy przez rodzaj pracy i rozleglejsze mogli objąć horyzonty.

Pamiętnikarstwo legjonowe wciąż jest niebogate. Żywą względnie była w tej dziedzinie produkcja wydawnicza Krakowa i Piotrkowa w latach 1915-6, mająca zresztą na celu w pierwszym rzędzie propagandę. Roczniki „Wiadomości polskich" (niezależnie od ich tendencyj politycznych), prace Musiałka, Romina, w pierwszym zaś rzędzie Kadena - Bandrowskiego (Piłsudczycy, Bitwa pod Konarami, Mogiły) i ś. p. M. Dąbrowskiego, będące na pograniczu wspomnienia i opisu, zapoczątkowały godnie opowieść o polskim żołnierzu czasu wielkiej wojny. Lecz wnet zaległa cisza niemal zupełna. Lipiński, Kwaśniewski, Poraj - Koźmiński, parę wydawnictw obrazkowo - wspominkowych, roczniki „Panteonu Polskiego", garść urywków rozrzuconych po czasopismach. Dwa na większą skalę zakrojone wydawnictwa zbiorowe. „Wspomnienia legjonowe" w wydanych dotąd dwóch tomach zrzadka tylko potrącają o rzeczy bardziej zasadnicze i ważkie, dają natomiast żywą anegdotę, kreśloną często doskonałem piórem, dają barwny obraz jurności i niefrasobliwej tężyzny legjonowej. Wydawnictwo „Za kratami więzień i drutami obozów" (dotąd wyszły 2 tomy) jest nie tylko, jak wskazywałby tytuł, zbiorem wspomnień polskich więźniów ideowych z czasów wielkiej wojny, w pierwszym zatem rzędzie żołnierzy legjonowych i działaczy P. O. W. W drugim zwłaszcza tomie daje dokładny obraz t. zw. kryzysu przysięgowego, sięga niejednokrotnie do dokumentów i publikacyj ówczesnych i jest też nieocenioną skarbnicą informacyj i materjałów. Żałować tylko wypada, że do obu wydawnictw wkradło się dość dużo nieścisłości i pomyłek co do dat, nazwisk i faktów. Dowodzi to, jak zawodna jest pamięć ludzka, jak zatem konieczny jest trud utrwalenia co rychlej i skontrolowania żywej o legjonach legendy.

Właściwa praca historyczna nad zasługą bitewną i organizacyjną, nad znaczeniem historycznem legjonów jeszcze wogóle nie została podjęta. Brak studjów taktycznych o walkach, jakie toczyły legjony (poza oczywiście, pracą Piłsudskiego „Moje pierwsze boje"). Brak historji lub choćby kroniki poszczególnych pułków, oddziałów i zakładów. Brak zobrazowania tego ogromnego wysiłku organizacyjnego, jakiego wymagała improwizacja wojska, a który wnet miał być powtórzony w skali oczywiście większej przy budowie armji polskiej i oprzeć się w znacznej części musiał na doświadczeniach z legjonowego okresu.

Od tych zagadnień, czekających badacza i dziejopisa, ważniejszą jeszcze kwestją jest określenie bardziej gruntowne i źródłowe roli politycznej i historycznej sierpniowej inicjatywy Piłsudskiego.

W sensie dwojakim: z jednej strony chodzić tu musi o zobrazowanie podstaw ideologji legjonowej, przedstawienie jej faz rozwojowych etapów krzepnięcia, zasięgu wpływów, zwycięskiego pochodu w świadomości ogółu wśród trudnej walki o orjentację. Z drugiej znów strony chodzić tu będzie o międzynarodowe znaczenie legjonów dla sprawy polskiej i odbudowy państwa, stanowisko państw wojujących wobec Polski i polskiej siły zbrojnej, stanowiska tego perypetje perspektywy, wahania, korrektury, narzucane przebiegiem wojny i postawą polskiego społeczeństwa. W tej tak kapitalnej dziedzinie historycznych rozważań plon naszej nauki może do tej pory zaprezentować kilka tylko pozycyj. Srokowskiego rzecz o Naczelnym Komitecie Narodowym, jednostronna z pewnością politycznie, lecz dająca wiele materjału, świetne Askenazego „Uwagi", pożyteczne wydawnictwo Sokolnickiego „Polska w pamiętnikach wielkiej wojny". W mniejszym już stopniu pamiętniki Bilińskiego i Daszyńskiego, wreszcie ten czy tamten dokument, memorjał, wydobyty dla celów raczej politycznych z pomroki archiwalnej, ogłoszony i zatracony dla pamięci ogółu w jakiemś wydawnictwie perjodycznem. Całe epoki życia legjonowego są wciąż niezbadaną, nietkniętą dziedziną. W polskiej wewnętrznej polityce wojskowej tych czasów omówienia czeka historja Departamentu Wojskowego N. K. N., jego stosunek do reprezentantów i ośrodków polskiej racji stanu, rola Rady Pułkowników w rozwoju wypadków, stanowisko polskich władz i reprezentacyj (Koło Polskie, Tymczasowa Rada Stanu, Rada Regencyjna) wobec zagadnienia legjonów.

Nie może nauka polska usprawiedliwiać się tylko brakiem źródłowego materjału, który zresztą dziś jeszcze da się częściowo zastąpić świadectwem żywem uczestników wypadków. W zapomnienie niesłuszne jakby poszła tak bogata i różnorodna w czasach okupacji literatura propagandowa, nielegalna, dająca materjał informacyjny pierwszej wagi. (Przedewszystkiem wydawnictwo Polskiej Partji Postępowej „Z dokumentów chwili" i roczniki „Rządu i wojska".). W warszawskiem Archiwum Wojskowem w całości i uporządkowane już istnieją akta Komendy Legjonów Polskich, akta oddziału generał - gubernatorstwa „Polska Siła Zbrojna", archiwum legjonowych pułków i instytucyj, istnieje archiwum Paica, reprezentanta naczelnej komendy armji austrjackiej przy generał - gubernatorstwie. Raporty Paica, Bolfrasa, Rosnera poruszają częstokroć zagadnienia pierwszorzędne, odkrywają niejednokrotnie zakulisy i istotne sprężyny działań. Archiwum Tymczasowej Rady Stanu w sejmowej bibliotece; nawet pewne fragmenty aktów politycznego oddziału (I c) generał - gubernatorstwa warszawskiego ocalały od zniszczenia, znajdują się dziś w posiadaniu prywatnem. Umowa archiwalna z rządem austrjackim, zawarta w wykonaniu traktatu w St. Germain lub wyzyskanie innych aktualnych konjunktur stworzyłoby duże możliwości na gruncie archiwów wiedeńskich. Co więcej, katastrofa państwowa Niemiec i Austrji sprawiła, że pewne odpryski archiwalne centralnych władz wojskowych czy cywilnych tych państw znalazły się w polskich rękach. Przed paru już laty było aktualne wydanie szeregu kapitalnych dokumentów, dotyczących układów austro - niemieckich w sprawie Polski i wojska polskiego. Zamierzenie poszło w odwłokę na skutek zaabsorbowania dzisiejszego właściciela tych materjałów pracą na szeregu eksponowanych stanowisk państwowych. Generał Stachiewicz, szef wojskowego Biura Historycznego, przygotowuje na podstawie bogatych materjałów źródłowych publikację o analogicznych zagadnieniach, z rezultatem swych poszukiwań zaznajomił już pokrótce świat naukowy w jednym ze swych odczytów.

Są to początki, które muszą znaleźć co rychlej kontynuację, popartą przez powołane do tego czynniki. Powtarzamy, dostępny już dziś materjał archiwalny, do którego oczywiście przyszłość dorzuci wiele, wyjaśnia, tłumaczy, oświetla niejedno. By dla przykładu ograniczyć się tylko do Archiwum Wojskowego, znajdzie tam badacz n. p. stosunku państw centralnych do zagadnienia państwa i wojska polskiego dokumenty, z których wynika, że już wiosną 1916 r. przeprowadziło warszawskie generał - gubernatorstwo szczegółową analizę możliwości rekrutacyjnych okupowanego Królestwa Polskiego i określiło ilość niewybranego materjału ludzkiego na 1 miljon mężczyzn zdolnych do broni. Już z początkiem lipca tegoż roku, a zatem jeszcze przed znanym wiedeńskim układem z sierpnia Niemiec i Austro - Węgier w sprawie polskiej, przedkłada Paic naczelnej komendzie armji austrjackiej projekt wystawienia na ziemiach Królestwa i Litwy armji polskiej w sile 15 dywizyj, z oparciem tej budowy na kadrach legjonowych, I-ej brygadzie wyznaczając Litwę jako rejon postoju i werbunku. Już w połowie sierpnia są w pełnym toku sztabowe prace przygotowawcze w generał - gubernatorstwie warszawskiem nad organizacją obozów wyszkoleniowych i rekruckich z tendencją wystawienia i użycia na froncie już z wiosną 1917 r. pierwszych polskich dywizyj w łącznej sumie 90.000 żołnierza. Śledzić możemy poszczególne fazy pobożnych życzeń niemieckich i austrjackich w sprawie wojska polskiego poprzez obrady mieszanej wojskowej komisji austro - niemieckiej w Warszawie, komisyjne obrady grudniowe, korespondencję z ministerstwem wojny w Berlinie i t. d. Widzimy, jak zagadnienie legjonów jako kadry wojska, jak sprawa poddanych austro - węgierskich są wciąż tematem sporów między sprzymierzeńcami i argumentem politycznej intrygi, jak Niemcy od początku już dążą do postawienia legjonów poza nawiasem swych organizacyjnych w sprawie wojska zamierzeń. I t. d., i t. d.

Studjum tych zagadnień z jednego jeszcze względu zasługuje na uwagę. Zimne akta archiwum przyznają raz jeszcze rację obozowi niepodległościowemu, stanowisku Piłsudskiego w stosunku do okupantów w latach 1916 - 17. Demaskują krótkowidztwo polskich czynników ugody. Stwierdzają, że jedynie słuszne było stanowisko, które wyzyskało konjunkturalne możliwości aktu 5 listopada dla wykrzesania z narodu maximum sił aktywnych i twórczych, a nie uroniło nic z dumnego hasła niepodległości.

Historja legjonów, wojskowa i polityczna, nie jest dotąd napisana. Pamiętnikarstwo nie rozwinęło się tak bujnie, jak w innych przełomowych epokach, nie ujawniło się dotąd przynajmniej. Czas naprawić te zaniedbania. Wiemy, że Instytut badań najnowszej historji polskiej rozpoczyna już jesienią wydawnictwo kwartalnika, poświęconego zagadnieniom ostatniej walki o niepodległość. Może ta inicjatywa rozpocznie nową epokę. Może obok działalności instytucyj stanie i wysiłek indywidualny, może ambicja historyków naszego pokolenia zwróci się ku tej niedawnej, tak ważnej w życiu narodu epoce. Może, we własnym zresztą interesie, nasi wydawcy bardziej, niż dotąd, zainteresują się dziejami legjonów, pamiętnikarstwem tych czasów. Czas spłacić dług legjonowej epopei.

Al. Rut.

FANFARY 1-go PUŁKU PIECHOTY LEGIONÓW *)

Zaszumiał bór stary i zamilkł — jak mowa —
Słuchają wkrąg świerki — brodacze:
Przed chatą — w zagajach leśnego ostrowa —
stanęła okołem muzyka pułkowa,
a czterej pośrodku trębacze...

Wzrok hardy ku chmurom odrzucą zuchwale —
wraz surmy na udach oparli...
I stoją tak świetni w słonecznym upale,
jak dawne heroldy we słońcu i chwale —
w sen dumnych posągów zamarli...

Aż razem do góry uniósłszy puzony,
ze spiżów dobyli moc ducha!...
A w chacie — tam w głębi — myślami schylony,
wzrok tęskny w dalekie kierując gdzieś strony,
Brygadyer, Brygadyer ich słucha...

(motyw fanfary)

I.

Hej — surmy wzwyż!
niech w lasów głąb
mocarny dźwięczny spiż
rozgłosem trąb
nasz hardy sławi szyk!
To my — to my kadrowy pierwszy huf —
z zamarłych snów do życia wstali w krwi!!

II.

Kordonów słup
strącilim w loch —
Wolności przednia straż!
przez krew, przez proch
po Sławy łup
gościniec w słońcu nasz!
to my — to my — z kieleckich szarych dróg
na ziemi próg miotali Czynu skry!!

III.

Za nami kurz
ogniowych burz —
bagnetów krwawy łan!...
gdzie Lasek dni
Anielin w krwi,
i złoty Konar łan!
W purpurze ran weselny krok
w strzeleckiej pieśni takt...
zasłalim trakt tysiącem zwłok —
tysiącem krwawych zwłok!!!

— — — — — — — — — — — —

Tu surmy ku ziemi opuszczą trębacze —
oparli je z mocą u kolan...
A pogłos spiżowy wśród borów kołacze,
i echem zawodzi — i echem gdzieś płacze —
wracając od lasów — od polan...

I skarży się ziemi, iż zliczył kurhany
rozsiane w dalekiej krainie...
Zaszumiał bór stary ciemnymi konary,
i drzewa się wkoło pochylą jak łany —
Szczytami żałobny szum płynie...

Umilkli trębacze... i myśl ich zmącona
we mglistej gdzieś ginie oddali...
Aż razem do góry podniósłszy ramiona,
pieśń Mocy i Chwały wezbraną wśród łona,
fanfarę zwycięstwa zagrali:

IV

Hej — szlakiem pól
przez krew — przez ból —
za nami — z nami w lot!...
gdzie Złoty Róg
z powietrznych dróg
zwycięski wiedzie miot!...
w radosny szał

*) Józef Mączka „Starym szlakiem". Kraków 1917 r.

ginących ciał
wśród młodych życia kras —
na nowe dni
wśród bryzgów krwi
o Wodzu — prowadź nas!...
W bagnetów tan
przez zbożny łan,
przez kwieciem strojny las —
na siew — na plon —
na wczesny skon
o Wodzu — prowadź nas!
na słońca blask
wśród Sławy łask
w purpurze krwawych ran —
na bój — na lot
na krwawy miot,
o Wodzu — prowadź nas!...
— — — — — — — — — — — —

Zamilkną trębacze — i surmy mosiężne
wraz każdy ku udom nakłoni...
Głos leci — polata — przez echa okrężne —
i woła — i budzi wkręg hufce orężne
„do broni — powstańcie do broni!..."

A w leśnej stannicy — myślami schylony
Wódz — mocy orężnej — i ducha —
wzrok jasny w słoneczne kierując gdzieś strony,
w głąb tajnych przeznaczeń wsłuchany, wpatrzony,
Brygadyer — Brygadyer ich słucha...

Więc las się pokłoni — i szumieć poczyna —
w poszumach przed chatą się chyli...
Snać pojął — że oto jest chwila jedyna,
że dana jest Mocy i Chwały godzina,
I Wielkość przydana tej chwili!...

DROGA LEGJONÓW

(Fragment).

O drogo nasza! O „drogo Legionów"
przez krwawe tęsknot rzucona bezdroże!
Wężem idąca wśród śmierci zagonów
w one dalekie za górami zorze,
gdy krzyk się z piersi wyrywał jedyny:
„Do polskiej ziemi! Do polskiej krainy!"

O góro, góro drzewami szumiąca
jakże nam twoje dłużyły się stoki!
Omdlenie stopę o kamień potrąca,
a szybsze coraz stawają się kroki —
iż rzucasz ziemie dalekie i obce,
a tam — graniczne gdzieś na szczytach kopce!...

Ponad przepastne wieszając się jary
szliśmy drzew zwartych nieprzebytą gęstwą...
Znał trudy nasze odwieczny las stary,
i naszych siekier niestrudzone męstwo —
Ławą się drzewa waliły i kłody
pod juczne mnogich taborów pochody!

Bies tam nad nami w czarne buczał noce,
burzą nawałnic idący nam w tropy...
Pracę rąk wielu łamały złe moce,
mosty jesienne zrywały roztopy, —
woda sosnowych pniów zmywała dyle,
mierzwiła ruszty, jak zeschłe badyle...

Aż się nas uląkł Zły — i ściszył burze...
Tedy się szronem stężyła wraz droga —
a nieprzerwanym już sznurem ku górze
szły wciąż tabory, które męka sroga
dyszących koni na strome zakręty
parła, przez szlak ten oślizły i kręty...

Co dnia tam końskie mnożyły się padła,
rychło szkieletem żółtawym świecące —
Nad niemi kruków upiorne wahadła
czarnemi skrzydły w powietrzu drgające,
lub ówdzie — wozów połamane gnaty —
znaczyły drogę — tej polskiej krucyaty...

Chwilo pamiętna! Rzewna nieskończenie —
gdyśmy raz pierwszy stanęli na szczycie!
Snem się nam zdały graniczne kamienie,
snem chmurki białe na niebios błękicie,
snem ustawione przy kopcu armaty,
lśniące tryumfem — zwycięskiej krucyaty!

Coś — ci się mieni w oczach — mgła jakowaś...
rzewność cię bierze niemęska i słaba, —
że wnet Ojcze — nasz odmawiasz i Zdrowaś —
i—gdyby nie wstyd—(żeś „żołnierz—nie baba"),
przypadłbyś z płaczem do ziemi tej łona:
O ziemio, ziemio! Ty ziemio rodzona!...

Jako lawina — co śniegu kruszyną
z gór lecąc, rośnie w żywiołu potęgę, —
tak pułki nasze ze szczytów w dół spłyną
z pieśnią na ustach — na onych pól wstęgę —
rosnąc w zapału lot i w ducha moce, —
ów pęd — co wszelkie zapory druzgoce!...

Wróg, — co tam na nas czatował już w dole,
jął pierzchać zdala, jak stado płochliwe
trwożnych gazeli, już nasze patrole
szczuły — w pościgu swym nieustępliwe
jak psa, co z rzadka się tylko odszczeka,
gdy ujrzy zwierza srogiego zdaleka!

. . . .

O góro, góro — ileż jeszcze razy
mieliśmy ciebie przemierzyć krokami!
Gdy zmienne losów wojenych rozkazy
zawieją gromów huczały nad nami —
gdy na wstecz były pochody zwrócone,
a serca — w tamtą zaklęte wciąż stronę!

Gdy mołotkowskie owe przyszły boje,
gdzie wróg przemożną otoczył nas siłą,
znowuśmy leśne miewali postoje
nad twoich grzbietów poszczerbioną piłą,
znów biorąc w siebie moce lawinowe
na boje nowe — na zwycięstwa nowe!

... Zima nadeszła — i śnieżne zawieje
wieszały białe po stokach całuny...
Od sinych Karpat wiatr mroźny powieje,
i w drzew napięte uderza wciąż struny —
Las się nam kłania wiechami białemi
i puchy miękie rościela po ziemi...

— A potem mrozów chwyciły nas kleszcze,
iż marzły warty w odległym parowie...
Śmiertelnych chłodów szły po ludziach dreszcze
i białych grobów urosło wnet mrowie —
sosnowym krzyżem mogiłki znaczone,
twarzami — w tamtą zaklęte wciąż stronę! —

O góro, góro! stawałaś nad nami
w snach — do białego podobna upiora!
Straż przed onemi sprawując bramami,
za które dusza ulatuje skora...
Byłaś nam strzygą upiorną — i zmorą —
w snach wyobraźnię nawiedzając chorą!...

... A drogą szły precz z amunicyą juki,
iż bój trwał wieczny w Zielonej okopach...
Ciągły tam łomot słyszałeś i stuki
ciał, spadających po oślizłych słupach —
koni i wozów druzgotanych jęki —
żeś zwracał oczy — od krwawej tej męki!

Powrotnym szlakiem szły rannych transporty,
których śmierć w białe nie przyjęła wrota...
Znał wróg nasz opór, i — „sieryje czorty"
zwały nas Mochy, — więc to nie dziwota,
że wóz szpitalny wciąż skrzypi na drodze, —
że tam — bez jęku — człowiek cierpi srodze!...

Nieraz w noc ciemną — na leśnem pustkowiu,
gdy wichr nad wozem wydziwia swe harce —
przy wilczych ślepiów dalekiej latarce
ranny krzyż dojrzy — w mogiłki wezgłowiu...
więc siną ręką znak radosny czyni:
„bądź pozdrowiony... bracie... na pustyni!"

I śmielej w niebo spogląda znów potem —
i śle modlitwę przez szklane źrenice
za tych, co padli tam wspólnym pokotem
za Polskę — siebie — za żywych w obozie —
przy „kulomiotów" dalekiej muzyce —
i lżej mu — zdala — umierać na mrozie...

. . . .

Na szczycie góry krzyż stoi wyniosły —
Golgoty naszej korona cierniowa...
Ręce żołnierzy nabożnie go wzniosły...
bagnetem ryte wyczytasz tam słowa:
... „szliśmy przez góry, przez rzeki i wały
„do Ciebie Polsko i dla Twojej chwały!"

I jest symbolem ten krzyż — świętej Sprawy,
co weszła z nami w te góry i lasy —
szczytowym znakiem wielkiej Czynów nawy,
czynów, — co ponad przestrzenie i czasy
przez sine morza i przez Alp krawędzie
żywiły Polskę — i niosły ją wszędzie!...

... Pomniku — wyższy nad piramid czoła!...
... tak zadumany nad nami wysoko...
Tyś patrzał na nas — jak Stróża Anioła
orędownicze — opiekuńcze oko —
Ty będziesz świadczyć o nas—w przyszłe wieki
pielgrzymko synów naszych w czas daleki!

. . . .

Pod krzyżem stoi warta... Czasem w nocy,
gdy gwiazdy wzejdą na niebieskiej błoni —
żołnierz — ów tułacz bezdomny, sierocy,
pomarzy chwilkę oparty na broni —
w dalekich grzbietów wpatrzony widziadła,
na których tęskność księżyca usiadła...

Jakieś mu dawne zwidują się mary
w srebrnych konturach...tatrzańskie li szczyty?...
...chat kalenice?... czy gród jakiś stary —
Lwów... kiedyś — wrogom na zawsze odbity...
Maryackie wieże?— — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — — —

To potem — jasne odwróci w las oczy —
i słucha szmerów w dalekiej pomroce...
Niedźwiedź to wzdycha w boru?... czy wilk kroczy?,
czy serce w piersiach tak silnie łomoce
żelazem — nadzieją — i głuchą tęsknotą —
wpatrzone w marzeń złotych — łunę złotą!!
. . . .

Pamiętam jedną noc... Spiesząc z rozkazem,
wstrzymałem konia na chwilę przy szczycie...
(Wytchnienia szukał człowiek i koń razem —)
Na wyiskrzonym gwiazdami błękicie
księżyc tam wstawał z za gór — ognia łuną, —
i rozpłomienił białe śniegów runo!...
I Pantyr stanął dumny w swojej krasie...
las go ramiony tęsknemi ogarnie...
widmowe blaski drzewa brały na się,
dalekich szczytów spłonęły latarnie,
a nad ich zrębów koronkę iglastą
w snach się jakoweś czarowało — Miasto!

Ściany pałaców jak wzorzyste krosna...
nad niemi — wieżyc kolumnada dumna...
A w tem — wyniosła — i smukła jak sosna
strzeliła w górę — Zygmunta kolumna! —
. . . więc pierś modlitwą zaniosła się łzawo —
a usta szepcą: Warszawo!... Warszawo!...

O Grodzie stary! Lechicki Ty Grodzie!
Miasto najświętsze — o miasto Ty krwawe!...
— Umiłowane jak klejnot w narodzie —
— ukrzyżowane wielekroć — za Sprawę!...
Zali Cię ujrzym jeszcze — choć zdaleka —
zali się serce tych cudów doczeka?!...

Idziem do Ciebie przez krew — i przez jęki
tą drogą cierpień — i tęsknot — żarliwą...
my — z pod Raszyna — my z pod Ostrołęki
rozsianych prochów — dojrzałe dziś żniwo...
Zali—przez sprzecznych zawichrzeń mrok gęsty;
słyszysz Ty grodzie Orłowych piór chrzęsty?!.

Zali Ty poznasz nas — i nasze czyny,
gdy przyjdziem męką ran naszych pokutni —
żeśmy są Ojców wierni — jeno bardziej smutni!,
Żeśmy — poczęta w bolach i w miłości —
krew z krwi serdecznej Ich—i kość z Ich kości!!,

Józef Mączka. *)

WŁÓCZĘGA NA PODHALU**)

27 listopad. Sucha. — Noc przeszła szybko. Obudziłem się na stacji w Krakowie. Wokół czytano przy świetle świeczek gazety krakowskie.

Powoli zaczyna się wyjaśniać, więc oblepiliśmy okna, gdy pociąg ruszył i przypatrujemy się cudnym wzgórzom. Podhale. Jesteśmy w Galicji. Nawet nie wiem, kiedy przekroczyliśmy granicę Kongresówki.

O 11-ej stanęliśmy w Suchej. Po krótkiem śniadaniu — a jeść teraz dają jakoś obficie — maszerujemy do zamku Branickiego, gdzie nocleg na gołych deskach. Nawet nam hrabia słomy nie dał...

Krążą tu złe wieści! Piłsudski jest podobno na linji, maszeruje z pozostałemi bataljonami. Nie tracimy jednak nadziei!... Dopóki Komendant jest z nami, nie wezmą nas w pacht ni „awstrijcy" ni niemiaszki...

28 listopada. Sucha. — Przed obiadem mieliśmy ćwiczenia. o 2-giej zbiórka i wyruszamy w marszu na „baczność" przy dźwiękach orkiestry — na dworzec. Zmierzchało się, gdyśmy wyjeżdżali, jakoby na linję. Po 6-ciu jednak godzinach tłuczenia się w wagonie przy cudnej, księżycowej nocy wysiedliśmy w... Suchej i marsz z powrotem na zamek.

30 listopada. Sucha. — *Nowy Targ.* — Cudny rozkoszny dzień! W siwych, lekkich oparach kąpią się słońcem oblane szczyty podhalańskich wzgórz. Stoimy w szerokich, drewnianych szopach dworcowych, czekając na pociąg. Wokół gwar, orkiestra wesoło przygrywa. Jakaś tęskna zaduma chwyta za serce przy piosence: „Być żołnierzem rzecz cacana".

Mamy jechać do Nowego Targu na dwutygodniowy pobyt na linji. Wyruszamy z ochotą, choć coraz częściej mówią, że stajemy się austrjackimi żołnierzami, choć niezadowolenie wzrasta, choć głuche szmery chodzą po kompanji. Nasza paczka nie zważa na to! Wierzymy Piłsudskiemu! Obowiązek swój spełnić musimy, wytrwać do ostatka! Kto wie jeszcze jaka burza się szykuje, jakie losów koleje będziemy przechodzić, jaki obrót weźmie sprawa. P. O. N. podobno

---

*) Ś. p. Józef Mączka „Starym Szlakiem", Kraków 1917 r.
**) Wacław Lipiński „Szlakiem I-ej Brygady".

rozwiązane, a jesteśmy pod komendą N. K. N. — Głupstwo!

A Moskali wciąż podobno Prusacy piorą! A niechże, niech piorą i otworzą nam drogę do Warszawy. Już tam pewnie Komendant dobrze kręci, żeby się dostać do Warszawki, choć podobno (takie chodzą wieści) Prusacy nas nie tolerują! Tymczasem z przyjemnością słuchamy orkiestry i śpiewamy: „Może wrócę zdrów i zobaczę wkrótce Łódź"... a ja sobie siadłem na wózku tragarza i na „chybcika" tymczasem piszę..

Wyjechaliśmy o 2 po poł. i jedziemy na Maków, Jordanów, Chabówkę do Nowego Targu. W wagonie pełno, gwarno i wesoło. Jedziemy doliną obok szosy i wartko płynącej Skawy. Wokół wzgórza i wzgórza, a my wyczekujemy Tatr, lecz szczytów ciągle nie widać. O 8-ej wieczór zajechaliśmy do Nowego Targu. Wieczór mroźny, lecz jasno jest jak za dnia. Blady i poważny księżyc nieci swemi promieniami miljony iskier na śniegu. Mróz siarczysty.

Po kilku minutach, przy dźwiękach naszej orkiestry ruszyliśmy do miasta, po zamarzniętej, oślizgłej drodzę. Góralska ludność wita nas z ogromną radością, wszędzie śmiechy i wesele. Czujemy się wśród swoich, na polskiej ziemi...

2 grudzień. Nowy Targ. — Stoimy tu już drugi dzień. Boski odpoczynek.

3 grudzień. Nowy Targ — Waksmund — Maniowy. — Spaliśmy dzisiaj na łóżku na nowej kwaterze! Pierwszy raz od wyruszenia z domu! To też z rozkoszą przeciągaliśmy się na wygodnych materacach.

Rano do 12-ej ćwiczenia, które prowadzimy na polu w śniegu po kostki. Po południu — ledwieśmy obiad zjedli, zbiórka alarmowa i o 2-giej wyruszyliśmy. Mieliśmy stanąć w pierwszej wsi za Nowym Targiem t. j. w Waksmundzie, a tymczasem wsie za wsią mijamy, godzina za godziną uchodzi, a my wciąż z przegiętemi karkami dźwigamy się w marszu. Wieczór już zapadł, noc nadchodziła chłodna i mroźna gdyśmy stanęli na nocleg we wsi Maniowy.

4 grudzień. Maniowy — Krościenko — Szczawnica. — Ruszamy po herbatce, nasz pluton jako tylna straż. Fleszar prowadzi marsz, to też pędzimy wściekle po doskonałej zresztą szosie, zaganiając częstych maruderów.

Wokół dolina Dunajca. Wspaniałe wapienne skały Pienin, nagie iglice, przepaściste zbocza stoją ciche, przykryte lekkim płaszczem śniegu, zda się śnią... Za chwilę wznosi się przed nami potężna skała Czorsztynu. — A Dunajec mieni się srebrnemi barwami, toczy się wartko po zboczach skał, szumi ochoczo i wesoło...

Dochodzimy do Szczawnicy, gdzie w jednej chwili obydwa bataljony wsiąkły w wille, domki, chałupy Kto żyw w Szczawnicy, młódka czy starsza, chłopak czy gazda wybiegli z jadłem, z pełnemi rękoma, ciągnąć na kwaterę. Kobiety starsze pochlipują młode zęby szczerzą — to też spustoszenie w kolumnie następuje straszne. Nasza paczka pakuje się do pysznej willi, gdzie nas ze wzruszeniem przyjmują gospodarze i co ważniejsza — trzy panienki... Spędzamy tam wieczór i noc na pysznych łóżkach, z prawdziwemi śnieżnemi poduszkami i materacami...

5 grudzień. Szczawnica. — Z ciężkiem sercem wstawaliśmy rano z miękkich łóżek. Po śniadaniu szukanie reszty plutonu, a po komiśnym obiedzie, który został w kotłach, zbiórka po naboje. Dostaliśmy po 200 sztuk. Narbutt zapowiedział, by je cenić gdyż w tych górach o naboje trudno. Patrole stoją tuż tuż za wsią i włóczą się gęsto po okolicy, wyszukując kozaczków którzy się tu i ówdzie pokazują

7 grudzień. — Szczawnica — Niżne Łapsy. — O 5-ej rano wpadł Zygmunt Chabowski z okrzykiem: „zbiórka w pełnym rynsztunku!" — Wymarsz! Z prawdziwą wściekłością zaczęliśmy się zbierać. W willi zawrzał ruch, gospodarze za chwilę poprosili na śniadanie. Ogólna konsternacja i żal. Panienki mają smutne minki, załamują ręce...

Po wzruszającem pożegnaniu machnęliśmy na zbiórkę.

O 8-mej, gdy już kolumna ruszała, goni nas zdyszana panienka z naszej willi. Przebrana w mundur, uzbrojona. Mimo naszych perswazyj i protestów, „rekrut" pakuje się do pierwszej czwórki. Nie pomogły żadne namowy, prośby i groźby. Została jako obywatel Adam — i już...

Tymczasem marsz otwierał przed nami najcudowniejszy zakątek polski, wspaniały przełom Dunajca. Szliśmy w milczeniu przez wąską gardziel białych skał, przyczepieni do zboczy, po wąziutkiej drodze, na węgierski Spiż. W zachwycających skrętach, dzikich wężowiskach rwał pod nogami zielony Dunajec Na nocleg stanęliśmy we wsi spiskiej, Niżne Łapsy.

8 grudzień. Niżne Łapsy — Czarna Góra — Bukowina. — Hej ciężkie marsze po górach, dolinach! Plecak ciągnie ku ziemi, głowa chyli się w dół od zdrętwiałego karku, uda z ostatnim wysiłkiem podnoszą ciało wysoko, wysoko, ciągle wgórę...

Idziemy po szerokich wzgórzach, stopniowo się wspinając, to znagła wdół lecąc chybcikiem! Ciężkie farsze, od których dzika pasja w człowieku zbiera na własną niemoc, pot oczy zalewa, a odkrytą pierś górski wiatr chłodzi.

Z niżnich Łapsów idziemy wciąż górami, z częstemi odpoczynkami. Już Tatry czernią się przed nami zboczami skał, sypkiemi piargami. Potężnie i groźnie spozierają ośnieżone turnie i jakby tuż tuż, objąć byś je chciał, tylko siwa mgła rozwleczona szeroko u stóp mówi, że daleka do nich jeszcze droga...

O 4-tej stanęliśmy we wsi Bukowinie i kilka kilometrów od Poronina i Zakopanego Stoimy w czystej chałupie, gdzie młoda góralka gościnnie nas przyjmuje mlekiem, kartoflami, a stary gazda, z pooranem czołem, dopytuje się ciekawie o tę bliską wojnę.

9 grudzień. Bukowina — Poronin. — Hej! Co za cudy natury mamy przed sobą! Nocą gwiezdne niebo a takie gwiezdne, że oczy mrużyć trzeba, patrząc na promienne migotanie miljona gwiazd. Rankami krwawe, przepyszne jutrzenki, na których tle potężne szczyty Tatr jeszcze się ogromniejsze i potężniejsze zdają, świty różane na śniegach, na które patrzysz z cichym zachwytem, dziwujesz się i krzyczałbyś z radości, że świat tak piękny, tak wspaniały...

O 10-tej wymaszerowaliśmy z Bukowiny i wciąż wdół serpentynami schodząc, zaszliśmy w południe do Poronina, gdzieśmy stanęli na noc.

10 grudzień. Poronin. — Godzina 5-ta po południu. Na dworze ciemno, niebo chmurne, halny wiatr świszcze w opłotkach, gra na smukłych smerekach, gna siwe, głębokie chmury, tłucze je po wyniosłych szczytach Tatr. Ciepły, halny wiatr pozganiał śniegi do rowów i dziur, rozkuł bystre potoki i zrudziałym płaszczem pokrył cyrle, hale i szerokie zbocza...

11 grudzień. Poronin. — Mamy w Poroninie „garę". Dzisiaj przy zbiórce śniadaniowej Narbutt odczytał rozkaz o odpoczynku i odpowiednie do tego rozkazy. Będziemy mieli gimnastykę (a jakże!), poza tem wykłady i trochę ćwiczeń.

Pogoda wstrętna, chmury tłuką się po niebie, od gór ciągnie ciepły wiosenny prawie wiatr, rozmiękła ziemia i błoto ślizga się pod nogami.

12 grudzień. Poronin. — Niewesołe nadeszły dzisiaj wiadomości. Ponoć Moskale coraz bardziej prą w Galicji, w Królestwie również źle. Nastroiły nas te wieści pesymistycznie, więc znów rozpoczęły się te długie, wieczorne gawędy, o tem co zrobimy w razie przegranej, gdzie się na emigrację udamy. Ciężkie smutne myśli wloką się za starym szlakiem emigracyjnym, staremi polskiemi drogami żołnierzy — tułaczy...

13 grudzień. Poronin — Szaflary — Nowy Targ — Ostrowsko. — O 5-tej rano pobudka i po śniadaniu marsz na Nowy Targ. Idziemy ponoć na linję.

Nad Tatrami wiszą chmury i mgły się czepiają nagich turni. W dolinach wilgoć i ciepło. Orkiestra przygrywa, idziemy szybkim marszem. O 10-tej stanęliśmy w Szaflarach na godzinny postój, a o 1-szej wkraczamy z powrotem do Nowego Targu. Rozradowane twarze patrzą na nas wokół, gospodarze rozpoznają niedawnych swych gości, witając nas serdecznie. Radość jednak była krótka. Po godzinnym postoju pomaszerowaliśmy dalej...

14 grudzień. Ostrowsko — Łopuszna — Ochotnica. Ciężki mieliśmy dzisiaj marsz. Choć częste były odpoczynki — solidnie zmachani weszliśmy o 4-ej po południu do Ochotnicy.

Rano ruszyliśmy z Ostrowska i z Łopuszna skręciliśmy na wschód w stronę Limanowej. Idziemy do Kamienicy Dolnej, prawdopodobnie na linję, choć nie wszyscy tak sądzą. Coprawda ludzie są przemęczeni. Od Krzywopłotów wieczne marsze i kontrmarsze, najwyżej jedno, dwudniowe odpoczynki. Połowa ludzi w bataljonie choruje. Podobna Komendant ma na celu trzymanie nas jak najdalej od linji, by zaoszczędzić nasz IV i VI bataljon. Z z drugiej strony znowu twierdzą, że idziemy na pewniaka na linję, że pierwszy, trzeci, piąty bataljon są w ogniu i, że my idziemy ich zmienić[1]). Nie wiadomo co sądzić. Lecz faktem jest, że z przyjemnością poszlibyśmy już na linję, byle tylko prędzej póki jeszcze zapasy są w plecaku, a na dworze jako tako ciepło i mróz jeszcze nie ścisnął.

15 grudzień. Ochotnica — Łącko — Kadcza. — Do południa ponoć mamy stać w Ochotnicy, do której wczoraj po całodziennym marszu przywlekliśmy się, lecz już o 12-ej wpada dyżurny z okrzykiem: alarm! W kilka minut stanęliśmy przy Narbucie. Nadjechał porucznik Rokita[2]) z okrzykiem: Komendant i pułk w Nowym Sączu — maszerować! Odpowiedział mu ogromny krzyk radości i w doskonałych, przepysznych humorach ruszyliśmy. Marsz był ciężki, gdyż rwaliśmy mocnym krokiem. O 4-tej postój i obiad na szosie, potem znów dalej. Noc zapada, godzina za godziną upływa, a my wciąż kilometry za kilometrami zostawiamy za sobą. Stanęliśmy we wsi Kadcza.

16 grudzień. Kadcza — Gołkowice — Podegrodzie. Dzisiaj przed wymarszem, gdyśmy stali na szosie, od przechodzącego dziadka, niosącego opłatki, dostaliśmy po całej paczce, jednej na pluton. — „Niech tam panom Matka Boska da święta spędzić spokojnie" — życzył nam dziaduś bezzębnemi usty.

W południe stanęliśmy we wsi Podegrodziu.

17 grudzień. Podegrodzie — Nowy Sącz. — Ruszyliśmy po obiedzie do Nowego Sącza i przestrzeń dwunastu km. przeszliśmy szparko. Do miasta wchodzimy przy hucznych dźwiękach orkiestry, która rżnie potężnie. Wszystkie balkony zapełnione widzami, witają nas ludziska serdecznie, radośnie! A wiara wycina mocny, równy krok z głową do góry podniesioną, z wysoka, dumnie patrząc na wałęsających się Austrjaków.

18 grudzień. Nowy Sącz. — W Sączu ruch ogromny. Zebrały się tu wszystkie bataljony pułku, to też strzelców moc. Miasto uroczyście się przygotowuje do urządzenia nam wilji i świąt.

Sytuacja podobno doskonała. Prusacy piorą „rusków" strasznie, w Galicji Moskale cofnęli się ponoć za Tarnów i Rzeszów. Oby to była prawda!

Dzisiaj z byłego pułku 1 stworzono teraz dwa, a z nich I Brygadę. 1 pułk pod komendą Śmigłego[3]), a 2[4]) — Norwida[5]). Obecnie jesteśmy 1 kompanją I bataljonu 2-go (5-go) pułku! Każdy pułk składa się z trzech bataljonów, bataljon z trzech kompanij, te zaś z trzech plutonów.

20 grudzień. Nowy Sącz — Zbyszyce. — Do obiadu pyszny mieliśmy dzień. Słonecznie, jasno, ciepło! Tłumy strzelców i ułanów spacerują po ulicach Sącza flirt i romanse z nadobnemi sączankami niby wiosną. Nastrój doskonały. Krążą pogłoski, że mamy iść do Królestwa i t. d.

Dostaliśmy „Wiadomości Polskie" z Cieszyna i opis bitwy pod Krzywopłotami. Moskale dostają strasznie w skórę, ofenzywa ich jest zupełnie złamana. Mieliśmy tutaj zostać podobno na święta, na które uroczyście się Sącz szykował, lecz niedługo trwały nadzieje. O 4-ej zbiórka alarmowa, wydanie żelaznych porcyj i gwałtowny marsz na linję, do późnej nocy w kierunku Tarnowa. Droga trudna do przebycia, gnaliśmy jednak prawie bez odpoczynku. Stanęliśmy wreszcie we wsi Zbyszyce — cały pluton w trzech izbach na słowie. Zmęczeni jesteśmy, jednocześnie zaś uradowani, że mamy choć takie kwatery.

[1]) W tym czasie, pozostałe bataljony Józefa Piłsudskiego, po przejściu pod Uliną Małą i po krótkim odpoczynku — walczyły pod Marcinkowicami, Limanową i Nowym Sączem. (Przyp. autora).

[2]) Rokita-Maksymowicz, obecnie płk. piechoty.

[3]) Śmigły-Rydz, obecnie generał dywizji.

[4])2-gi pułk a właściwie 5-y, gdyż taką cyfrę otrzymał on później w ogólnej numeracji pułków legjonowych

[5]) Norwid-Neugebauer, obecnie generał dywizji

21 grudzień. Zbyszyce — Zakliczyn. — Chłodny wiatr na dworze a rozkisłe błoto chlapie pod nogami... Całe dwa pułki naszej brygady maszerują siwą, głęboką kolumną, rozwieczoną na kilka kilometrów. Gdy od czasu do czasu wzbija się szosa ku górze wśród ciemnej ramy lasów, z jakąż rozkoszą spoglądamy z wyniosłości na siwego, błękitnego węża, na kolumny wojska polskiego ciągnące się przed nami, ciągnące się za nami...

Linja nas ponoć czeka w dużych lasach. Około południa spotkaliśmy Austrjaków, prowadzących kilkuset Moskali. Jeńcy wyglądali okrutnie nędznie. Na kawałek chleba lub suchara rzucają się jak zgłodniałe wilki, to też nie czujemy jakoś do nich nienawiści, widząc ich bez broni, zgłodniałych, wynędzniałych...

Orkiestra gra. Około 5-tej stajemy w jakiejś wsi, na obiedzie a potem długi postój na cmentarzu kościelnym. Chłodno, wiatr — a wiara zbiera się grupkami i śpiewa kolędy. Wieczorem stanęliśmy w Zakliczynie.

BRYGADYER PIŁSUDSKI

Kto, jak on — nasz brygadyer Piłsudski,
Polskę w sercu, śmierć w tornistrze nosił,
kto, jak on, tak u Boga wyprosił,
by stąd odszedł najezdca kałmucki?

Kto, jak on, tak się z Bogiem targował
pod Łowczówkiem, z krzywą szablą w ręku,
o tę Polskę, pełną krwi i jęku,
o tę Polskę, którą wróg rabował?

Kto, jak on?
Pamiętajcie to imię,
co z tęsknoty do Polski wyrosło,
gdy wróg deptał Ją z butą wyniosłą,
całą w ogniu stojącą i w dymie.

Ten żołnierski wysiłek nadludzki
wy swym dzieciom w kolebkach przekażcie,
bo, jak w burzy kapitan na maszcie,
stał dziś w Polsce brygadyer Piłsudski.

GRÓB STRZELCA

Pod cierkiewką bez ikon i dzwonów,
skąd moskiewskie cofnęły się hufce,
padł od kuli towarzysz z legjonów,
polski żołnierz w siwej maciejówce...

Wykopali mu grób w złotym piasku,
grób zieloną darniną okryli
i pod krzyżem przy świętym obrazku
maciejówkę z orłem położyli.

Lecą liście z drzewa, lecą liście,
płacze szary dzień, jak chłopska dola.
„Requiescat" śpiewa legjoniście
wiatr wiejący z niezżętego pola...

Dymy wstają ze spalonej wioski,
po cerkiewnym włóczą się cmentarzu,
a w cerkiewce istny dopust boski —
w nocy pop się powiesił w ołtarzu.

Sam generał ikony i dzwony
kazał zabrać, wydał rozkaz krótki,
pop ze strachu pił i bił pokłony,
pop pił wódkę i oszalał z wódki.

Nie zdążyli carscy czynownicy
zabrać z sobą świętego wisielca,
więc dziś patrzy ten żandarm w spódnicy
na mogiłę krakowskiego strzelca.

Dymy wstają ze spalonej wioski,
z płonącego gdzieś za cerkwią stogu...
— Jak śmiał taki buntowszczyk krakowski
dać się zabić na cerkiewnym progu? —

Dymy wstają ze spalonej wioski,
wiatr na dachu skrzypi chorągiewką...
— Śpij spokojnie, żołnierzu krakowski,
pod tą starą unicką cerkiewką...

Złoty piasek na oczach twych leży,
złoty piasek do serca się sączy,
złotym piaskiem tym polskich żołnierzy
śmierć na zawsze dziś z Polską połączy... —

. . . .

3

Lecą liście z drzewa, lecą liście,
jeszcze serce krwią broczy... krwią broczy...
a już śpiewa swą pieśń legjoniście
wiatr, co dotąd zawsze wiał mu w oczy...

SEN O SZPADZIE

Gdy dym pożarów słońce gasi
i coraz krwawszy huczy bój,
ty mnie nie pytaj, czy to nasi,
czy to nie nasi, synu mój!

Ty mnie nie pytaj, kto zwycięża,
czyj tryumfalny słychać śpiew —
naszego niemasz tam oręża,
chociaż się nasza leje krew.

O synu mój, na wszystkich frontach,
od płowej Wisły aż po Ren,
przy zapalonych stojąc lontach,
my swój o Polsce śnimy sen.

Niszczeją grody, płoną wioski,
świat cały — ognia krwawy słup,
a chłop poznański i krakowski
kładą się u wrót naszych w grób.

A my? O los nasz zbądź się troski!
I nas dosięgnie krwawy cios!
Wszak celnie strzela chłop krakowski,
kiedy się Polski waży los.

Lecz, synu, nie mów nic o zdradzie!
To w niemilknącym huku dział
nasz sen rycerski, sen o szpadzie
wreszcie się dzisiaj jawą stał.

Edward Słoński. *)

PODWIECZOREK PO BITWIE POD KONARAMI

Zaś po bitwie zaraz wkopaliśmy się w ziemię.

Wyszukało się linję z najlepszym obstrzałem i wojennym smakiem zaprawiło się okolicę przed nami. Tu będą miny, tam będą kozły hiszpańskie, a tam w okopie schowa się krwiożerczy pysk karabinu maszynowego...

A żeśmy się już pobili do syta i krwią opłynęli, a żeśmy już śmierci sporo oddali, który to rachunek, jako że długi i powolny ziemia powoli wyrównuje, — niech bierze, bo nas stać!... A że nas radość sparła, bo umrzeć jest słodko, ale ze śmiercią u boku nie daleko, żyć jest słodziej... A że się tam potem wszystkim chce zawsze mocno jeść i dobrze pić i salonu się nam chce i pompy i aby było głośno, składnie i ładnie pod czystem niebem na falującej, ciepłej sandomierskiej ziemi, więc II pułk urządził podwieczorek.

Podwieczorek ów był inauguracją kantyny II pułku, ale był też wspaniałą ucztą i stypą i biesiadą weselną — na tych samych miejscach, gdzieśmy parę dni szli w ogień, a teraz są mogiły co krok, na nich krzyże, naboje — i fiołki...

Jak ciemne krople uroczej wonnej żałoby...

Bo tu sobie nikt nie zawraca głowy, jest uczta, uroczystość, a skoro nasza wojskowa, to bez miary! Cóżby się nie zmieściło w naszej uroczystości, chciałbym wiedzieć?!

Więc było tak prawie miło, jak może wtedy u księcia Józefa pod Lipkami, tylko że pań nie było... Ale co nam po paniach! I było prawie tak, jak za Kazimierza Wielkiego, bo się nasze wielkie stoły rozstawiły pod gołem niebem najczystszem na świeżej fali traw. Jak za Kazimierza Wielkiego, bośmy mieli czyste sumienie do tego podwieczorku. A Komendant na pierwszem miejscu między nami, tak się sobie rozsiadł, jak u Pana Boga za piecem, wygodnie i dostojnie...

Jak za Kazimierza Wielkiego, bo nam tak wokół stołów i jedy naszej pachniało polem i miodami łąki, bo nam tak słońce sprawiedliwie w twarz świeciło.

Muzykę postawiliśmy zaraz obok chałupy. Potem balaski, potem krzaki i nasze stoły — jedno podziwienie pod wielką lipą, na której papier się bielił przybity z napisem:

„Cześć Ci kochany wodzu!"

Na stołach były kwiaty, całe bukiety, łapą żołnierza wiązane, wspaniałe wiechcie! Było też wino takie i siakie, herbata, rozmaite suchości, jakoto orzechy, migdały, albertki, biszkopty — wielkie jak wiosła.

Za stołem tuż, płynie zboże, wspina się na górki, jakichś 800 kroków i halt! To już linja...

Ach linia i nieprzyjaciel — nie mam większego zmartwienia, jak nieprzyjaciel!

Więc siedzimy i jemy. Brygadyer na pierwszem miejscu, ojciec wszystkiej naszej roboty, dalej szef sztabu, dalej panowie podpułkownicy, różne świeże majory, kapitany, porucznicy... Jest tunguz, co wziął karabiny maszynowe, jest Rokita, jest Toporczyk.

Co ci z nazwisk i osobistości i osób — czy to paciorki są, żebym je nizał jak na sznurek?!

*) „Ta co nie zginęła". Edward Słoński.

My jesteśmy! Wypisaliśmy sobie i do lipy przybili:

Cześć Ci kochany wodzu...

Kto? — My!...

Co nam po paniach i po wszystkiem, chodźcie zobaczyć jak tu siedzimy kręgiem, słońce nas grzeje, trawa kołysze — cicho, bo będzie mowa...

Major Berbecki peroruje. Składnie to powiedział, a króciej, niż na bankietach w stolicy... Jednem słowem, że do Brygadyera gadał — bardzo składnie..

Wszyscyśmy dawno wiedzieli co powie, bo my wszyscy to samo... Ale dobrze, że powiedział — mowy muszą być...

Siedzimy za białym stołem w morzach złotości i wiosennej krasy, nad nami łaskawe przegony błękitu, za rowem niedaleko wróg, z boku wiatrak trzeszczy, czyją śmierć miele?... Będziemy słońce pili, jak miód, w ten nasz żołnierski podwieczorek, jest wierny napis na lipie...

Słuchaj adjutant, każ im grać walca, mój drogi!

Grają walca, siedzi nas tu kilkudziesięciu, rozumiesz głupi, to jest w Polsce, my jesteśmy Polską, to nie jest żadna wielka chmurna rzecz, tylko rzecz, o którą się bijesz!

Komendant mówi:

Zcichliśmy wszyscy. Piłsudski stał już za stołem w szarym swym mundurze z iskrami słońca w głębokich, niebieskich oczach, z kielichem czerwonego wina w ręku, jakby z kielichem pysznej krwi... Mówi, że gdyby pułki swoje nazywał, toby II pułk I brygady nazwał pułkiem warszawskim, jako, że bataljony w skład jego wchodzące walczyły pod tem miastem.

Warszawo, Warszawo, czy słyszysz i wiesz, że idziemy ku Tobie, przez tyle śmierci w takim trudzie i radości?!..

Czerwień jęła powoli przesycać promienie słońca.

Oficerowie śpiewają chórem:

Oto dziś dzień czci i chwały...

Ręce drżą lekko, jak światło, pręży się mundur na piersi, a w piersi tętni wielka miłość Ojczyzny, — jak dzwon.

Juljusz Kaden - Bandrowski.



REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *TADEUSZ HIŻ.*

Drukarnia Artystyczna, Nowy-Świat 47. Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.